

Tematy tygodnia

- 12 Grzegorz Rzeczkowski
Rosyjskie gry wokół Smoleńska
- 15 Prof. **Wojciech Burszta**
o religii smoleńskiej
jako politycznym narzędziem

Polityka

- 18 Anna Dąbrowska
Wojciech Szacki
Wojny pisowskich frakcji
- 21 Rafał Kalukin
Włodzimierz Czarzasty reanimuje SLD
- 24 Marcin Matczak
OGLĄD I POGLĄD
Jak liberałowie mają się bronić

Społeczeństwo

- 26 Aleksandra Żelazińska
Małżeństwa multi-kulti w polskim wydaniu
- 29 Rozmowa z aktorem
Olgierdem Łukaszewiczem
o jego osobistej akcji
w obronie Europy
- 32 Violetta Krasnowska
Seminaria obywatelskie i nietajne komplety

Rynek

- 34 Joanna Solska
Pacjenci uciekają do Czech
- 38 Twórca Grupy Lotos
Paweł Olechnowicz
o wielkiej fuzji naftowej i tym,
czy tworzenie narodowego
koncernu paliwowego ma sens
- 40 Adam Grzeszak
Gdy zabraknie kakao

Świat

- 42 Filip Gańczak
NIEMCY **Bezkompromisowy szef dyplomacji**
- 45 Dariusz Kałan
WĘGRY **Prowincja rządzi i wybiera**
- 48 Piotr Łukasiewicz
AFGANISTAN **Jak z taliba zrobić polityka**

Historia

- 50 Rafał Woś
Wszystkie twarze Róży Luksemburg



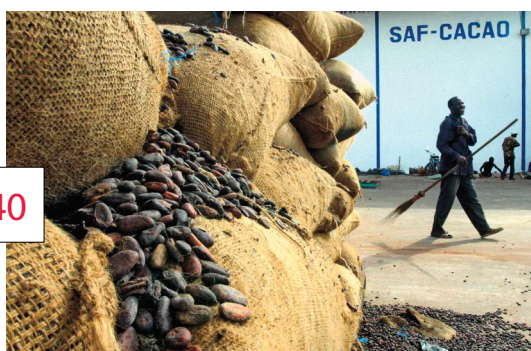
12

Smoleńsk: fakty o micie



26

Małżeństwa mieszane po polsku



40

Czy to koniec czekolady?



92

Bardzo zdrowe domy z drewna

- 53 Marcin Czajkowski
Zamach na doktora Kinga

Nauka

- 56 Jan Hartman
Czy filozofowie są jeszcze potrzebni?
- 59 Karol Jałochowski
Wszechświat wszechstronnie opisany
- 60 Andrzej Hołdys
Jak karać sprawców pogodowych kataklizmów

Ludzie i style

- 62 Rozmowa z prof. **Niną Witoszek** o tym,
czym się różni polskie
i norweskie podejście
do własnej tożsamości
- 66 Marcin Piątek
Skandal w Polskim Związku Kolarskim

Kultura

- 72 Paweł Dunin-Wąsowicz
Pisarze patrzą na Smoleńsk. Co widzą?
- 76 Rozmowa z **Dawidem Ogrodnikiem**, odtwórcą
głównej roli w nagrodzonym
tegorocznymi Orłami
dramacie „Cicha noc”
- 80 Michał Wieczorek
Jak Spotify zmienia świat muzyki
- 83 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
- 84 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Na własne oczy

- 92 Agnieszka Rodowicz
Domowa drewniana rewolucja

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 68 Afisz • 86 Passent
- 87 Chutnik i Plebanek
- 88 Stomma • 89 Tym
- 90 Do i od redakcji • 91 Fusy
- 98 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Polityka twardych ustępstw

Nie kryję, że wiceministra Konrada Szymańskiego słucham z zainteresowaniem, bo wiem, że to, czego sam nie ogarniam, on jako polityk ocierający się o europejskie salony wyjaśni mi w sposób niezwykle kulturalny. Poza tym przy Szymańskim czuję się bezpiecznie, bo mam pewność, że jeśli słucham jego, to nie jestem w tym czasie narażony na słuchanie Beaty Kempy czy Mariusza Błaszczaka, którzy, sądząc po tym, co i jak mówią, raczej nie ocierają się o nic europejskiego, a jedynie o siebie nawzajem.

Kilka dni temu w Radiu Zet Konrad Szymański w przystępny sposób objaśnił mi, na czym polega dyplomatyczna gra polskiego rządu z Brukselą, lojalnie uprzedzając, że chodzi o grę „bardzo wysublimowaną, szczególnie ze strony premiera Morawieckiego”. Zaczął od ujawnienia długo trzymanego w tajemnicy faktu, że w sprawie reformy sądownictwa Polska od miesiąca wywierała na Brukselę silną presję. Wprawdzie odnosiło się wrażenie, że jest na odwrót, ale po wyjaśnieniach Szymańskiego rozumiem, że swoją grą Polska tak zmyliła Brukselę co do tego, kto na kogo wywiera presję, że Bruksela była cały czas święcie przekonana, że presja jest wywierana przez nią, a nie przez Polskę.



Ze słów wiceministra wynika, że na skutek presji Polski Bruksela, nie mając innego wyjścia, uruchomiła przeciwko Polsce słynny artykuł 7, co jeszcze zintensyfikowało presję Polski. Na szczęście, uspokaja Szymański, w ostatnich tygodniach presja przyniosła wreszcie efekt: Bruksela pękła i okazała gotowość „do wycofania się ze swoich własnych oczekiwań”. W tym momencie zapewne pękli również słuchacze oraz prowadzący rozmowę red. Piasecki. Tylko pan Szymański nie pękł i na pytanie, czy zapowiedź zmiany niektórych przepisów ustaw sądowych i obietnica wydrukowania zaległych wyroków TK nie są jednak w wykonaniu rządu krokiem wstecz, uspokoił, że „jest to raczej krok w bok”.

Wiceminister nie pozostawił wątpliwości, że konsekwentną zapowiedzią twardych ustępstw w sprawie ustaw pokazaliśmy Brukseli, że nie ulegniemy jej naciskom. Podobnie jak Szymański uważam, że to powinno Brukselę uspokoić i dać jej do myślenia. Jeśli nie, polski rząd będzie pewnie zmuszony zagrozić dalszymi ustępstwami. Mógłby np. obiecać Brukseli niezwłoczne wydrukowanie kolejnych zaległych i dotąd nieopublikowanych wyroków polskiego TK, a jeśli już je wydrukuje i nie będzie miał nic więcej do wydrukowania, mógłby w geście dobrej woli i w ramach wysublimowanej gry, jaką z Brukselą prowadzi, obiecać niezwłoczne wydrukowanie ich po raz drugi. A gdyby Brukseli bardzo zależało, to i po raz trzeci. Jestem przekonany, że wyczerpana konfliktem z Polską Bruksela przyjąłaby to z ulgą i zrozumieniem.



20 LIPCA

BRYAN FERRY

DOLINA CHARLOTTY



BILETY NA [TICKETMASTER.PL](https://www.ticketmaster.pl) [EVENTIM.PL](https://www.eventim.pl)

100% BILLY **21.07**

LIVE!

MAGS

SURPRISE PACKAGE

GET 42 of 12 Pcs

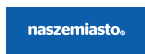
MOVIES, MOVIES, SLIDES, PHOTOS

DOLINA CHARLOTTY

Bilety na [ticketmaster.pl](https://www.ticketmaster.pl) [eventim.pl](https://www.eventim.pl)



Sponsorzy i patroni medialni:



Kup książkę

Wrze pod przykrywką



Jerzy Baczyński

Trzeba się obawiać złych wiadomości dla rządu, ponieważ każda z nich jest zapowiedzią kolejnych nieprzyjemnych zdarzeń. Jeśli kłopotliwej wizerunkowo informacji nie uda się zataić, zdezawuuować ani przeczeć, piarowcy na ogół podejmują próbę jej przykrycia. Czyli wypuszczenia królika, za którym pogonią media. Jak każdy chwyt marketingowy, stosowany zbyt często wytwarza odruch oczekiwania: był kłopot, znaczy będzie wrzutka. Po potężnym ciosie w prestiż partii, jakim okazał się przedświąteczny sondaż Kantar Media dla TVN (s. 18), pokazujący bezprecedensowy (12 pkt proc.) spadek notowań PiS, należało więc się spodziewać jakiejś natychmiastowej, spektakularnej reakcji władzy. W redakcji różnie typowaliśmy, ale nikt nie przewidział, że zostanie odgarnięta tzw. afery hazardowa sprzed, uwaga, 9 lat. Rozumowanie partyjnego piaru było zapewne takie: ponieważ za spadek sondaży odpowiada, bez wątpienia, wpadka z wielotysięcznymi nagrodami dla ministrów i autonagrody premier Szydło, trzeba pokazać natychmiast, że poprzednicy też byli pazerni. Zażądano więc ujawnienia informacji o premiach dla ministrów Tuska i tu potknięcie, które z radością podchwyciły tabloidy: „Miliony u Szydło, u Tuska bieda”, bo rzeczywiście Tusk był dla swoich ministrów pokazowo skąpy. Więc następnego dnia został zatrzymany na zlecenie prokuratury były wiceminister finansów Jacek K., co pozwoliło, jeszcze przed wypuszczeniem ministra na wolność kilka godzin później, głosić, że „afery hazardowa przyniosła 20 mld zł straty”.

Wznowienie przez prokuraturę Zbigniewa Ziobry sprawy, zdawało się politycznie rozliczonej (liczne dymisje) i prawnie (już za rządów PiS) umorzonej, na kilometr pachnie doraźną polityką. Tym bardziej że Jacek K. był pozytywnym bohaterem tamtej historii (jako nieprzekupny „skur...”, którego przestępcy, jak wynika z podsłuchów, chcieli „upier...”), bo to on doprowadził do uszczelnienia systemu opodatkowania hazardu w Polsce. Zresztą zarzuty niedopełnienia obowiązków, przekroczenia uprawnień lub niegospodarności są rozciągliwe jak guma i można je postawić właściwie każdemu urzędnikowi, zwłaszcza jeśli nie trzeba takiego zarzutu potem bronić w sądzie (bo promocyjnie wystarczy sama akcja CBA-TVP). Nie szukając daleko, jakaś następna władza mogłaby bez trudu ogłosić, że np. kontrakt na zakup baterii Patriot został przeplacony o kilka miliardów, bo Rumuni kupili praktycznie to samo za pół ceny, i trzeba aresztować min. Błaszczaka. Zresztą, w sprawie zakupu Patriotów też trzeba podejrzewać motyw przykrywkowy, próbę przesłonięcia poważnego kryzysu w stosunkach z USA (s. 7).

Jednak Patrioty choć w trudnych okolicznościach udzieliły władzy wizerunkowej pomocy, nie mogą być odpalane codziennie. Stąd zapowiedź powołania komisji śledczej do spraw wyłudzeń VAT. Tym razem, według premiera Morawieckiego, mogło już chodzić o stratę 200 mld zł. Znow, wielkie kwoty wymierzone od hipotetycznych przychodów. Zdaniem wielu biegłych, gdyby tak liczyć, obecna ekipa też musiałaby w przyszłości odpowiadać za wielomiliardowe straty, także w VAT, podatkach korporacyjnych, składkach niezapłaconych dziś w Polsce przez robotników z Ukrainy albo „nieuzasadnionych” wydatkach budżetu. Niebezpieczna to zabawa, jeśli polityczni zwycięzcy, bez wyraźnych dowodów i powodów, chcą rywali traktować jak kryminalistów. To zaproszenie do przyszłego odwetu.

Święta zawsze nieco rozrzedzają atmosferę polityczną, ale w najbliższych kilkunastu dniach powinniśmy się spodziewać kolejnych ostrych akcji politycznych, przysypujących ślady po „minus 12”. Mamy już weto prezydenta wobec tzw. ustaw degradacyjnych. Wkrótce też z nową siłą powinna wrócić, zawsze poręczna, sprawa „żydowskich roszczeń majątkowych”. Tyle że po gorzkiej lekcji ustawy o IPN, raczej nie w wypowiedziach oficjalnych, ale w formie rozproszonych przekazów państwowych i propisowskich mediów. „Eksperci TVP” będą podsuwali interpretację, że cała afery wokół polskiej ustawy „antydefamacyjnej” była od początku nakręcana przez żydowskie organizacje domagające się zwrotu „kamienic”, w których dziś mieszkają Polacy, potomkowie bohaterów, którzy pomagali Żydom podczas okupacji, a potem byli obrażani przez władze III RP, w tym Tuska, które przeproszały za Jedwabne, gdzie to Niemcy organizowali pogrom, podobnie jak później SB w Kielcach. Proszę chociaż raz czy dwa włączyć „Wiadomości” TVP lub TVP Info, żeby przekonać się, jak to jest sztytę dokładnie takim ściegiem, od skojarzenia do skojarzenia, ciągiem niedopowiedzeń i insynuacji. (Nawiasem mówiąc, zastanawiam się, czy telewizyjna młodzież sama odkryła te metody, czy to starsi koledzy nauczycieli?).

Normalnie w odzyskaniu inicjatywy politycznej oraz nadwątlonej spoistości elektoratu powinny też pomóc obchody smoleńskie, tym razem Wielkiej Rocznicę połączonej z odsłonięciem Pomnika Ofiar Katastrofy, położeniem kamienia węgielnego pod pomnik Lecha Kaczyńskiego oraz zakończeniem miesięcznic. Kłopot dla PiS w tym, że zapowiadane przez prezesa od lat „dojście do prawdy”, wielki triumf smoleńskiego kultu i wiary, zapowiada się raczej na kolejne nieszczęście. Antoni Macierewicz – tak namotał, nakłamał, tak skompromitował siebie i podkomisję smoleńską, że emisja kolejnych animacji pokazujących wybuchy na skrzydle, jakaś parada rzekomo zniszczonych dowodów, teatr patetycznych min i patriotycznych przemówień już nie przywróci tej rocznicy powagi. Za zgodą Jarosława Kaczyńskiego uczyniono z katastrofy smoleńskiej polityczną błazenadę, za którą płaci także pośmiertnie Lech Kaczyński. Widziałem fotografię ulicznych tablic z nazwiskiem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, zerwanych ze słupa i rzuconych na podłogę ciężarówką, kiedy sąd w Gdańsku uznał, iż umieszczono je nielegalnie...

Państwowy kult smoleński staje się raczej obciążeniem niż siłą. I nie wiadomo, czy obchodów 10 kwietnia nie będzie trzeba szybko czymś innym przykryć. Tak chyba teraz jest: nieudane operacje przykrywające też muszą być przykrywane. W tym chaosie rośnie jednak ryzyko, że – cytując prezesa – prawda się odsłoni.

Jan Koza



© JAN KOZA



Patrioty: ćwierć sukcesu, cały patos

Po ponad dekadzie przymiarek, analiz, planowania i trzech latach negocjacji polski rząd podpisał z rządem USA umowę na nieco ponad jedną czwartą sprzętu dla ośmiu baterii systemu Wisła. Samych wyrzutni będzie 16 z planowanych w sumie 64, ale z pierwszą transzą kupiliśmy też cały zapas pocisków antybalistycznych i perspektywiczny komputerowy system dowodzenia. Antyrakietowa tarcza to jeszcze nie będzie, dwie baterie to najwyżej dwa parasole, które rozstawimy zapewne w Sochaczewie koło Warszawy i w pobliżu natowskiej bazy w Redzikowie. Ona również zwie się antyrakietową, ale nie jest w stanie obronić się przed pociskami w nią wycelowanymi. Ten szczebel obrony załatwią polskie Patrioty. I trzeba sobie jasno powiedzieć, że nawet po zakupie wszystkich ośmiu baterii nie będzie to obrona całego kraju. Żadna tarcza antyrakietowa tego nie zapewni.

Co kupiliśmy za 16 mld zł? Głównie utwierdzenie strategicznego sojuszu z USA, bardzo potrzebne w obecnej atmosferze, zepsutej przez ustawę o IPN. Zawarcie z Amerykanami drugiego po F-16 zbrojeniowego kontraktu stulecia nie likwiduje rzecz jasna zastrzeżeń dotyczących wolności słowa i badań naukowych, ale wprowadza długoletnią perspektywę, w której Polska niezmiennie jest ważnym punktem na mapie interesów USA. Jeśli chodzi o obronność, rozmiar ma znaczenie. Cztery radary sektorowe, a więc widzące tylko w kierunku ustawienia anteny, i po cztery wyrzutnie wokół każdego z nich nie dają wielkich szans obrony ani nie zadziałają odstraszająco, jeśli Putin pomyśli o wystrzeleniu salwy kilkudziesięciu Iskanderów. Ośiem baterii, połączonych w wielowarstwowy system obrony powietrznej i antyrakietowej – to inna historia. Ale to zobaczymy najpóźniej pod koniec przyszłej dekady, pod warunkiem realizacji nie tylko drugiej fazy Wisły i pełnego wykorzystania offsetu, ale również zamówienia zestawów krótkiego zasięgu Nawex. Koszty całosci? Trudne do oszacowania, optymiści mówią o 40, pesymiści o 60 mld zł. Obrona powietrzna to droga „zabawka”, systemy antyrakietowe zaś to w sklepie z zabawkami najwyższa półka.

Zanim tyle zapłacimy, można chwilę napawać się dumą. Skoro zakupiliśmy bilet na długą podróż w pierwszej klasie do krainy bezpieczeństwa i potęgi, można go pokazać światu. Patos wygłaszanych na uroczystości podpisania przemówień obezwładniał lepiej niż jakikolwiek system uzbrojenia. W hali produkcyjnej zakładów radarowych na Pradze zjawili się prezydent, premier i minister obrony, choć ze strony USA przyjechała jedynie szefowa departamentu eksportu uzbrojenia w Pentagonie, nie pofatygowali się też najważniejsi prezesi trzech firm dostawców. Ze spotu MON dowiedzieliśmy się, że od tej pory „nad Wisłą jest bezpiecznie”, choć filmik eksponował głównie starego typu wyrzutnię Patriot, która nie znalazła

uznania naszych wojskowych. Podobny błąd powieliła w swoich materiałach graficznych PGZ. Polska została 15. klientem systemu Patriot na świecie, ale ważniejsze, że będzie pierwszym, który zakupi przyszłościową wersję Patriota, wyposażoną w sieciowy system dowodzenia IBCS. Jeśli uda się dopiąć drugą część umowy na dookólne radary i ściągnąć do kraju technologię produkcji rakiet przechwytyjących, Polska ma poważną szansę zostać posiadaczem najnowocześniejszego systemu obrony powietrznej na Zachodzie.

Czy jednak o wystrzeleniu polskiego Patriota będzie decydować wyłącznie polski palec? Pytania o mityczne kody źródłowe pojawiają się przy każdym zakupie uzbrojenia. Bądźmy poważni. Jeśli mamy minimum zaufania do oficerów Wojska Polskiego prowadzących postępowanie i poważnie traktujemy amerykańskich dostawców – trzech globalnych liderów rynku broni, nie wierzymy, że jest gdzieś guzik, który nam Patriota wyłączy. Kwestia dostępności kodów źródłowych dotyczy bardziej ochrony własności intelektualnej, możliwości zmiany ustawień fabrycznych systemu, nieuprawnionej manipulacji nim. Oczywiście tego typu czarne skrzynki są i w Patriotcie, i w pociskach PAC-3 MSE, i w IBCS, który dla USA jest systemem systemów o strategicznym znaczeniu, mającym docelowo łączyć całą obronę powietrzną. Ani za 16 mld, ani za żadne pieniądze nie dostaniemy pełni uprawnień do tych technologii. Ale nie ma też mowy, by ktoś kontrolował nasze suwerenne decyzje o ich użyciu. Zwłaszcza że Patriot to broń defensywna w czystej postaci – owszem, może zabić załogę wrogiego samolotu, ale dopiero po aktywowaniu systemu obrony powietrznej, czyli w sytuacji trwającej agresji. Użytkownikami Patriotów są kraje wysyłające je na bojowe misje w NATO do Turcji, jak Niemcy, Holandia, Hiszpania, będące w stałym zagrożeniu atakiem rakietowym, jak Japonia i Korea Południowa, czy prowadzące operacje wojenne z ich użyciem, jak Arabia Saudyjska, Izrael czy Zjednoczone Emiraty Arabskie. Amerykanie nie są w stanie powstrzymać odpaleń, nawet gdy wrogiem będzie Rosja.

Na razie sukces z Patriotami nie jest nawet połowiczny, to ćwierć sukcesu. Przed nami negocjacje o kluczowych komponentach Wisły: dookólnym radarze i rakiecie możliwej do produkcji w kraju. Amerykanie już sugerują, że niecała wymagana technologia będzie dla Polski dostępna, w dodatku sami jeszcze nie wiedzą, jaki radar wybiorą dla US Army – a my kupować innego nie mamy zamiaru. Nie wiemy też, jak z produkcją nawet najprostszego wyposażenia poradzi sobie polska zbrojeniówka, choć zadbalimy o to, by w ramach offsetu Amerykanie nauczyli nas, jak nie spać z historycznego kontraktu. Niemniej system Wisła ma jeszcze przed sobą liczne mielizny i rafy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI, PI



Bruksela nas nie obroni

Gesty ze strony obozu PiS mają jedynie udobruchać Komisję Europejską i stworzyć jej alibi, aby mogła wycofać się ze wszczętej przeciwko Polsce procedury.

Wielu zastanawia się, czy Komisja Europejska ostatecznie wycofa się z procedury przewidzianej w art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej? Przypomnijmy: finałem tejże procedury mogłoby być głosowanie Rady Unii Europejskiej w sprawie wprowadzenia sankcji wobec Polski z powodu łamania przez nasz kraj praworządności. Premier Mateusz Morawiecki podczas spotkania z dziennikarzami po ostatnim brukselskim szczycie UE wyraźnie wskazał, że możliwe jest, iż Komisja się wycofa. Z kolei Jean-Claude Juncker, przewodniczący Komisji Europejskiej, wyraził najwyższą sympatię wobec inicjatywy części Sejmu (chodzi o posłów PiS) dotyczącą zmian w ustawach „reformujących” sądownictwo. Na krótko przed tymi wypowiedziami kanclerz Angela Merkel podczas wizyty w Warszawie wyraziła zaś nadzieję na kompromis między KE a rządem Polski.

Trudno zatem oceniać, czy Komisja jest na tyle zdeterminowana, aby wytrwać w pryncypialnym stanowisku, jeśli władze naszego państwa nie wycofają się ze skandalicznych decyzji podjętych wbrew polskiej konstytucji w celu podporządkowania sobie wymiaru sprawiedliwości. Czy może raczej będzie skłonna zadowolić się niewiele znaczącymi gestami ze strony polskich władz, niezmiennymi istotą tego, co już się stało z Trybunałem Konstytucyjnym, sądami i sędziami pod rządami PiS? Jest jednak dla mnie oczywiste, że Komisja Europejska chętnie i z poczuciem ulgi wykonałaby krok wstecz, wycofując się z procedury wszczętej wobec Polski.

Komisja Europejska stoi na straży traktatów europejskich i prawa unijnego. Byłoby jednak naiwnością oczekiwać, że podejmując swe decyzje, nie bierze pod uwagę realiów politycznych. Rozpoczęcie procedury z art. 7 przeciwko Polsce jest oczywiście kosztowne dla rządu PiS – późno, bo późno – jednak zdał on sobie z tego sprawę. Ale i Komisja nie jest w komfortowej sytuacji. Zasada jednomyślności, obowiązująca podczas głosowania Rady Europejskiej na kolejnym etapie procedury, daje KE minimalne szanse doprowadzenia jej z sukcesem do końca.

Komisja zdaje sobie również sprawę, iż sytuacja praworządności w takich państwach, jak Rumunia, Bułgaria czy Słowacja, także pozostawia sporo do życzenia. Innym – i moim zdaniem – najpoważniejszym problemem nie tylko Komisji, ale też całej Unii, może za chwilę stać się sytuacja we Włoszech. Jest wysoce prawdopodobne, że powstanie w nich rząd nie tylko eurosceptyczny, ale otwarcie antyunijny, bo taki charakter mają Ruch Pięciu Gwiazd i Liga Północna, które wygrały niedawno wybory parlamentarne w tym kraju. Widać także wyraźnie, że Niemcy – kluczowy europejski gracz – pod rządami Angeli Merkel są gotowe wiele ścierpieć, by poprawić stosunki z rządem PiS i nie podważyć strategicznej linii polityki niemieckiej w stosunku do Polski, wytyczonej przez kanclerza Kohla na przełomie lat 80. i 90. XX w.

Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że gdyby Komisja Europejska zadowolila się zmianami zapowiadanyymi przez PiS (opublikowaniem trzech dawnych wyroków Trybunału Konstytucyjnego, zrównaniem wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn w sądach powszechnych czy wprowadzeniem obowiązku zasięgania opinii

KRS przez ministra sprawiedliwości przy odwoływaniu prezesów sądów), to poniosłaby ciężką porażkę, a Jarosław Kaczyński i jego ugrupowanie mieliby powody do świętowania sukcesu.

Plan PiS był klarowny i zrealizowany z dużą konsekwencją. Celem było zniszczenie niezależności i autorytetu Trybunału Konstytucyjnego oraz uzyskanie wielkiego wpływu na sądy i zawodowe losy sędziów. Dążąc do tego celu, obóz rządzący kilkakrotnie łamał konstytucję. Tak wygląda stan obecny i nie zmienia go w najmniejszym stopniu gesty zapowiadane przez obecną władzę. Mają one służyć jedynie udobruchaniu Komisji Europejskiej i stworzyć jej alibi, aby mogła wycofać się z procedury przeciwko Polsce.

Dlatego zupełnie nie zgadzam się z komentatorami, którzy te ustępstwa polskich władz wobec KE uznają za odwrót czy nawet efekt upokorzenia PiS przez Europę. Jarosław Kaczyński symuluje, kiedy mówi, że mają one gorzki smak. Jestem przekonany, że ironicznie uśmiecha się pod nosem – wie dobrze, że taką cenę może śmiało zapłacić. Zdążyłem się już przyzwyczaić do wykorzystywania patriotycznej, godnościowej retoryki w bardzo złej sprawie przez obóz, który obecnie rządzi w naszym kraju, a mimo to odczuwam głęboki niesmak, kiedy słyszę zapewnienia, że w sporze z Unią Europejską chodzi o suwerenność Polski. Przykro mi, gdy słucham ministra Jacka Czaputowicza – pamiętam go jako młodego, ideowego i odważnego działacza NZS – który przywołuje dewizę „nic o nas bez nas” dla uzasadniania polityki, mającej w ostatecznym rachunku bardzo niepiękny cel.

Po co tak wiele wysiłku, tak wiele kłamstw i propagandy? I tyle wymiernych strat dla międzynarodowej pozycji Polski i jej reputacji? Odpowiedź jest prosta. Chodziło o wprowadzenie ustroju, w którym władza polityczna wyraźnie dominuje nad władzą sądowniczą. Zaprojektowanie takiego ustroju nie jest sztuką dla sztuki. Służy bardzo konkretnemu celowi: tworzeniu w społeczeństwie przekonania, że z władzą nie warto zadzierać, bo się z nią nie wygra. Władza chce też mieć wszystkie instrumenty potrzebne do „dyscyplinowania” niepokornych rodaków i eliminowania przeciwników, kiedy uzna to za celowe.

Ten system jeszcze nie funkcjonuje, gdyż sędziowie w swej zdecydowanej większości zachowują się godnie i bronią swej niezależności. Istnieje już jednak mechanizm, który będzie powodował, że ta obrona będzie coraz trudniejsza, a droga zawodowego awansu szeroko otwarta jedynie dla konformistów i ludzi dyspozycyjnych. W tej tak ważnej dziedzinie, jaką jest wymiar sprawiedliwości, Polska wykonuje olbrzymi krok wstecz.

Nie wiem, czy coś konstruktywnego wyniknie z „dialogu” Komisji Europejskiej z rządem Mateusza Morawieckiego. Nie mam jednak wątpliwości, że rację ma Władysław Frasyniuk, który w swych publicznych wypowiedziach konsekwentnie powtarza, że nie należy liczyć na to, że obroni nas Bruksela lub charyzmatyczny lider – wybawca, który nagle się objawi i uzyska powszechne poparcie. Ma rację, że nikt nie wyręczy świadomych i solidarnych obywateli, którzy konsekwentnie będą upominać się o swe prawa i nie pozwolą ich sobie odebrać.

KOMENTARZ

Karp a repywatyzacja polska



Ewa Siedlecka

Kolejny kryzys dyplomatyczny wywołany samochcąc przez PiS. Premier Mateusz Morawiecki ma problem: list od 58 senatorów USA, czyli większości stuosobowego Senatu. Protestują przeciwko projektowi ustawy repywatyzacyjnej przygotowanej w Ministerstwie Sprawiedliwości pod kierownictwem wiceministra Patryka Jakiego. Ustawa została w połowie lutego zwrócona ministerstwu przez Radę Ministrów. Teraz senatorzy w liście do Mateusza Morawieckiego piszą, że dyskryminuje ona amerykańskich Żydów, bo przewiduje, że beneficjentami repywatyzacji mogą być tylko ci, którzy byli obywatelami w dniu odebrania im majątku i są nimi dzisiaj.

Listu senatorów USA mogłoby nie być, gdyby nie atmosfera wywołana ustawą o „pomawianiu narodu”. PiS pobudził w Polsce antysemickie nastroje, przypisał nam gębę antysemitów. I dał pretekst do interwencji senatorom USA, którzy zabiegają o akceptację przez Kongres i prezydenta Trumpa przyjętej w grudniu zeszłego roku przez Senat ustawy zobowiązującej amerykańskie władze do wspierania – dyplomatycznego, ale i sądowego – dochodzenia przez organizacje i osoby prywatne roszczeń majątkowych amerykańskich Żydów w krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

Będąc w Australii, dowiedziałam się, że ma ona nieustanny problem ze sprowadzaniem obcych gatunków zwierząt i roślin, które zaburzają rodzimy ekosystem. Zaczęło się od słynnych królików. Teraz borykają się z karpami, które tak rozmnożyły się we wszelkich stawach i jeziorach, że wyparły inne ryby, wyniszczyły wodną roślinność i zatrują wody. Z inwazyjnymi gatunkami walczy się tam przez sprowadzanie innych obcych gatunków, które mają je wygubić. A potem te z kolei się rozplenią, zaburzając ekosystem jeszcze bardziej.

Australijski problem z karpami przypomina działalność Patryka Jakiego i PiS, zaburzającą różne ekosystemy: społeczny,

dyplomatyczny, prawny, a nawet leśny. Przykład podstawienia samej sobie nogi przez Patryka Jakiego jest szczególnie spektakularny. Ale to samo można powiedzieć np. o „reformie” sądownictwa, która zaburzyła ekosystem naszych stosunków z Unią Europejską i nasz ekosystem prawny tak dalece, że nie wiadomo, czy i jak w przyszłości będzie można przywrócić jego równowagę. A na razie PiS mnoży kolejne wynalazki prawne do zwalczania tego, co napsuł. Np. przeforsował ustawę „o pomawianiu narodu”, a teraz usiłuje ją uśmiercić za pomocą Trybunału Konstytucyjnego, który wcześniej sam śmiertelnie zatruł. Ustawą o „pomawianiu” uśmiercił zaś ustawę repywatyzacyjną. Niedoskonałą, bo rekompensata ma być zależna od woli władzy, a ta – od stanu finansów państwa. Ale dałoby się ją poprawić. I była to pierwsza od lat poważna nadzieja na rozwiązanie problemu, który – wracając do metafor biologicznych – jest ropiejącym wrzodem.

Czy zarzut amerykańskich senatorów o krzywdzeniu amerykańskich Żydów przez pisowską repywatyzację jest słuszny? To zależy. Rozwiązanie, że rekompensaty należą się tylko obywatelom lub ich spadkobiercom w pierwszej linii, to nie ewenement. Od 1989 r. w polskim parlamencie lub rządzie pracowano nad 20 projektami ustaw repywatyzacyjnych. 15 z nich przewidywało, że beneficjentami mogą być tylko obywatele polscy. Cztery dopuszczały, by obywatelami byli jedynie w momencie nacjonalizacji ich nieruchomości. Takie rozwiązanie: repywatyzacja tylko dla obywateli – przyjęła ponad połowa krajów byłego bloku socjalistycznego. Akceptuje to Trybunał w Strasburgu, który (m.in. w sprawach słoweńskich i rumuńskich, a także polskich – o rekompensaty za mienie zabużańskie) dał państwu duży margines swobody przy wyrównywaniu krzywd związanych z utratą majątków w wyniku nacjonalizacji.

Niezależnie od tego, czy ustawa PiS była zgodna z europejskimi standardami i repywatyzacyjnym „mainstreamem”, wiadomo było, że nie spodoba się organizacjom żydowskim, które od dziesięcioleci konsekwentnie walczą o szczególne traktowanie – ze względu na Holokaust – skonfiskowanych majątków żydowskich. Ale PiS musiał je sprowokować ustawą „o pomawianiu narodu”. Nie będzie teraz ani tej ustawy, ani ustawy repywatyzacyjnej. Elektorat zobaczy, jak rząd klęka, zamiast wstawać z kolan, a PiS zostanie tylko re-repywatyzacją w „weryfikacyjnej” komisji Patryka Jakiego, która też zaburza ekosystem, bo – tak jak przedtem – ostatecznie decyduje sąd. Komisja „zwraca” często kamienie, które jeszcze nie zostały prawomocnie zabrane, a sprawa toczyła się normalną drogą. Na tej drodze PiS postawił swoją Komisję – prawdopodobnie wydłużając rozstrzygnięcie części spraw.

REKLAMA



SKONTAKTUJ SIĘ
Z NAMI!

tel. 22 825 74 77
e-mail: bwj@atas.pl

ATAS

KURSY JĘZYKOWE ZA GRANICĄ

- KURSY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
- RENOMOWANE SZKOŁY JĘZYKOWE
- POLSKOJĘZYCZNY OPIEKUN
- ANGLIA, CYPR, HISZPANIA, MALTA, USA

BAW SIĘ. UCZ. POZNAWAJ!

Kup książkę

KURSY.ATAS.PL



© APPEAST NEWS

Kraj zimowej wiśni

Tragiczny pożar stał się dla Rosjan symbolem stanu ich państwa.

Rosja opłakuje ofiary katastrofy w Kemerowie. Pożar centrum handlowego Zimowa Wiśnia w syberyjskim mieście pochłonął według oficjalnych danych co najmniej 64 osoby, w tym 41 dzieci. Jest to największa w Rosji tragedia z ich udziałem od czasu ataku terrorystycznego na szkołę w Biesłanie w 2004 r. Doniesienia z Kemerowa wywołały powszechną trwogę. Niedziałający system sygnalizacji pożarowej, zablokowane przejścia ewakuacyjne, panikowana załoga centrum handlowego przyczyniły się do wysokiej liczby ofiar. Widzowie co najmniej jednej z kinowych sal zostali w niej na czas seansu zamknięci od zewnątrz. To okazało się śmiertelną pułapką. Ich rozpaczliwe wołania o pomoc opublikowano w sieci.

Przerażeni nieudolną akcją ratunkową, wzburzeni brakiem reakcji władz – zarówno regionalnych, jak i Kremla – mieszkańcy Kemerowa dwa dni po tragicznym wypadku wyszli na wielotysięczną demonstrację. Protestujący mówili mediom o powszechnej korupcji w obwodzie – także wśród pracowników kontroli przeciwpożarowej – która ich zdaniem doprowadziła do tragedii. Domagano się dymisji gubernatora obwodu Amana Tulejewa. Ten nazwał protestujących prowokatorami, którzy budują swoją polityczną popularność na krwi. Zamiast do rodzin ofiar zwrócił się do Władimira Putina: „Proszę o wybaczenie za to, co stało się na naszym terytorium” – powiedział odwiedzającemu Kemerowo prezydentowi. Bliskim ofiar przelał zaś równowartość swojej dniówki, czym nie omieszczał pochwalić się na swojej oficjalnej stronie (ogłoszenie, najprawdopodobniej na skutek powszechnej krytyki, szybko zniknęło z sieci). Kemerowo stało się symbolem – tragicznym dowodem na pogarszający się stan rosyjskiego państwa. „Cały nasz kraj jest Zimową Wiśnią” – napisali na transparencie rosyjscy kibice przed meczem piłki nożnej z Francją.

Spadochroniarz Selmayr

Martin Selmayr, który przez lata był najbliższym współpracownikiem i prawą ręką Jeana-Claude'a Junckera, a ostatnio też wicesekretarzem generalnym Komisji Europejskiej, niedawno awansował na sekretarza generalnego tej instytucji. Awans przepchnął Juncker, a część komisarzy poproszono o zatwierdzenie nominacji na kilka minut przed spotkaniem kolegium. Nie było konkursu ani żadnej oficjalnej procedury. Selmayr już wcześniej miał bardzo silną pozycję, będąc szarą eminencją unijnej maszyny, ale teraz stanął na szczycie instytucji zatrudniającej ponad 30 tys. osób.

Być może gdyby chodziło o kogoś innego, afery by nie było. Selmayr budzi jednak skrajne emocje, jest ceniony jako sprawny fachowiec (jest m.in. autorem obowiązkowego systemu relokacji uchodźców), ale równocześnie oskarża się go o nieustanne knucie i manipulacje, więc i jego awans, tym bardziej że zdobyty w mało przejrzysty sposób, jest kontrowersyjny. Przypomina się jego błyskawiczną – jak na komisyjne standardy – karierę: od 2004 r. awansował o dziewięć stanowisk. Do tego dochodzi też opór przed kolejnym Niemcem na wysokim unijnym stanowisku. Sprawa więc nie cichnie, a Parlament Europejski mówi o konflikcie interesów, awans Selmayra nazywa kumoterstwem i politycznym spadochroniarstwem i szykuje w tej sprawie rezolucję.



© PAP/EPA



© APPEAST NEWS

Trzylatki do szkół

Francuskie dzieci pójdą do szkół w wieku trzech lat. Prezydent **Emmanuel Macron** chciałby w ten sposób zniwelować nierówności pomiędzy miastami a terytoriami zamorskimi i biednymi obszarami kontynentalnej Francji. Dzieci z dużych miast i tak rozpoczynają naukę wcześniej – w Paryżu 97 proc. 3-latków w swoich przedszkolach było objętych obowiązkowym programem nauczania. Dzieci naprawdę się tam uczyły. Tyle że w stolicy przedszkoli jest więcej niż na dalekiej prowincji. Wprowadzana od września 2019 r. zmiana przeniesie 3-latki do szkół, ponieważ tych placówek w całym kraju jest znacznie więcej.

Dyskusja na temat tego, kiedy jest najlepszy moment na rozpoczęcie nauki w szkole, toczy się w wielu krajach. Francuzi swój pomysł podpierają ekspertami naukowców, którzy wykazują, że trzymanie dzieci w przedszkolach do 6. roku życia i traktowanie tych placówek jak przechodni jest przeciwnie skuteczne, ponieważ dziecko w tym czasie jest najbardziej chłonne i najszybciej zwiększa swój zasób słów. W Wielkiej Brytanii w szkolnych ławkach siadają już 5-latki. Ale w Austrii, Niemczech, Belgii, Danii, Włoszech i Holandii do szkoły idą 6-latki. Z kolei zaś w Estonii, Finlandii i w Singapurze, które przodują w rankingach edukacji PISA, obowiązkowa edukacja rozpoczyna się dopiero w roku szkolnym, w którym dzieci kończą 7 lat.



© GETTY

Europa bez skowronków?

W ciągu 40 lat z naszego kontynentu zniknęło 400 mln ptaków.

Nie tylko spóźniona wiosna jest winna temu, że mamy coraz mniej ptaków za oknem. Francuscy naukowcy ogłosili właśnie najnowsze ustalenia dotyczące tamtejszych obszarów wiejskich. W ciągu ostatnich 15 lat populacje skowronków, cierniówek i ortolanów zmniejszyły się o jedną trzecią, a świergotków łąkowych o dwie trzecie. Biolodzy alarmują o katastrofie ekologicznej, pustynieniu francuskich pól i łąk, bo spadki dotyczą szeregu ptaszków uchodzących za niezagrożone.

Podobny trend notowany jest w całej Unii Europejskiej. Aby zorientować się, co się dzieje z ptakami, a tym samym ze środowiskiem, w którym z nimi żyjemy, unijni statystycy posługują się wskaźnikiem uwzględniającym liczebność gatunków krajobrazu rolniczego. Jeśli w 2000 r. wskaźnik utrzymywał się

na poziomie 1, to teraz zjechał do 0,8. Jeszcze gorzej wygląda to w dłuższym terminie i w liczbach bezwzględnych: niektóre szacunki mówią, że od 1980 r. na kontynencie ubyło w sumie 400 mln ptaków.

Nie brak podejrzeń, że przegrywają w starciu i z szybko zmieniającym się klimatem, i z nowoczesnymi metodami uprawy. Np. we Francji kluczowym winowajcą ma być powszechne stosowanie środków ochrony roślin, które uśmiercają owady będące podstawą jadalnego ptasiego drobiazgu. Na francuskiej prowincji ilość owadów zmniejszyła się przez 15-lecie aż o 80 proc. Choć w Polsce wskaźnik liczebności polnych ptaków spada wolniej niż unijna średnia, to biolodzy są pewni, że dogonimy Europę Zachodnią i pod tym względem.

Wet za wet

Rosja wydali 60 amerykańskich dyplomatów w odpowiedzi na wcześniejszy identyczny ruch Waszyngtonu. Zamknie też amerykański konsulat w Petersburgu. Natomiast do zamknięcia tego numeru POLITYKI nie było jeszcze rosyjskiej decyzji w sprawie dyplomatów z pozostałych 19 państw, które wzięły udział w tej największej historycznie akcji dyplomatycznej przeciwko Rosji. Ale oni też mogą się już pakować.

Wcześniejsze wyrzucenie z krajów zachodnich ponad 120 rosyjskich dyplomatów to reakcja na próbę otrucia w Wielkiej Brytanii byłego rosyjskiego agenta Siergieja Skripała. Wydalenie Rosjan jest, według ekspertów, potężnym ciosem dla rosyjskiej siatki wywiadu. Jeden z czeskich raportów wywiadowczych wskazywał, że u naszych sąsiadów działa co najmniej 50 rosyjskich dyplomatów szpiegów. Praga musiała jednak wziąć pod uwagę liczebność swojej placówki

w Moskwie i spodziewany odwet, dlatego wydalili tylko trzech Rosjan. Polska – czterech.

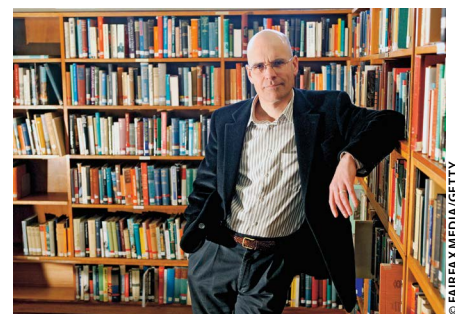
Rosja w przekazie do swoich obywateli odgrywa teraz rolę niewinnej ofiary i domaga się konsularnego dostępu do swojego obywatela Skripała. Na zewnątrz próbuje rozbijać bezprecedensową solidarność Zachodu, sugerując np., że Waszyngtonowi i Londynowi chodzi o osłabienie Europy kontynentalnej poprzez zmuszenie jej do konfliktu z Rosją. Ta niespodziewana solidarność Ameryki i Europy zaskoczyła wielu ekspertów, ale też skłoniła do dywagacji, co dalej? Brytyjski znawca Rosji Marc Galeotti obawia się, że Zachód taktycznie zrobił to, co mógł. Ale retorsje dyplomatyczne pozostaną bez znaczenia, jeśli zabraknie odpowiedzi na strategiczne pytanie: jaki jest długofalowy cel Zachodu wobec Rosji? Bo jeśli chodzi o „danie nauczki”, to jesteśmy niepoprawnymi optymistami.

Chiński poligon Australia

To najgłośniejsza książka tego sezonu: na okładce nad budynkiem parlamentu w Canberze powiewa wielka chińska flaga. **Clive Hamilton**, profesor etyki na Uniwersytecie Charlesa Sturta, pisze w niej o tytułowej „cichej inwazji” Chin na Australię, o tysiącach chińskich agentów wpływu działających na różnych szczeblach australijskiej polityki, nauki, biznesu, organizacji społecznych i życia religijnego. I o pozyskanych dla chińskiej oficjalnej propagandy i interesów rzeszach Australijczyków, często nieświadomych, jaką rolę i za czyje (czytaj: komunistyczne) pieniądze odgrywają. Zdaniem prof. Hamiltona Australia – obok Nowej Zelandii – stała się dla imperialnych ambicji Chin najważniejszym poligonem doświadczalnym, gdzie testowane są sposoby i rozwiązania szkodliwe dla całego Zachodu.

Autor przytacza listę 40 czołowych polityków, w tym dwóch byłych premierów, w taki czy inny sposób wspieranych przez chińskie fundusze. Istotną rolę pośrednika odgrywa tu świeży imigrant, multimiliarder Huang Xiangmo. W grudniu ub.r. wybuchła afera z laburzystowskim senatorem Samem Dastyarim (wspieranym przez wspomnianego Hanga i zajmującym otwarcie prochińskie stanowisko w sprawie Morza Południowochińskiego), który został zmuszony do złożenia mandatu. To wtedy premier Malcolm Turnbull zapowiedział nowe prawo, zabraniające partiom i politykom finansowania z zagranicy i wprowadzające nakaz rejestrowania lobbystów działających na rzecz zagranicy.

Podobne liczne przykłady zestawione przez Hamiltona dotyczą środowiska naukowego – oficjalnie zresztą ostrzeżonego przed chińską infiltracją i wykradaniem nowych technologii. Także półmilionowa chińska diaspora w Australii, jej media i Kościoły są na wszelkie sposoby przenikane przez ludzi i wpływy Pekinu. Podobnie liczne środowisko chińskich studentów w Australii. Na ten narastający konflikt oficjalna strona chińska ma jedną odpowiedź: że to antychińska histeria. Chiny są największym partnerem handlowym Australii i lubią to dawać do zrozumienia.



© FAIRFAX MEDIA/GETTY



Dochodzenie do „prawdy smoleńskiej” nic nie wniosło do ustalenia przyczyn katastrofy z 2010 r., za to ułatwiło Rosji dzielenie Polaków.

Gry smoleńskie

ILUSTRACJA IGOR MORSKI

M

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

oskwa, 12 stycznia 2011 r. W siedzibie Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego na Wielkiej Ordince Tatiana Anodina prezentuje ustalenia rosyjskich ekspertów badających przyczyny katastrofy smoleńskiej. W pewnym momencie wypowiada słowa, które

rozpętają w Polsce burzę: „Zgodnie z ekspertyzą psychologów obecność dowódcy wojsk lotniczych [gen. Andrzeja Błasika – red.] oznaczała presję na podjęcie decyzji o dalszym schodzeniu do lądowania i lądowaniu niezależnie od okoliczności. We krwi przełożonego pilotów znaleziono alkohol etylowy, 0,6 promila”. Czyli – według ekspertów – tyle, ile po wypiciu dwóch piw lub stu gramów wódki. A więc nie dość, że polski generał był pod wpływem alkoholu – co okazało się nieprawdą

– to jeszcze kazał lądować mimo złych warunków. Na temat odpowiedzialności rosyjskich kontrolerów nie padło nawet słowo.

Dwa zdania szefowej MAK dla części społeczeństwa stały się na lata dyżurnym dowodem na nie szczere intencje Rosjan, ale także polskich władz. Te o prezentacji raportu dowiedziały się dopiero poprzedniego dnia. Bezradnie patrzyły na to, jak rozlewa się tsunami, gdy premier Donald Tusk w pośpiechu wracał z urlopu we Włoszech. Były polski dyplomata, który w tamtym czasie zajmował się sprawami rosyjskimi: – *Zaskoczyli nas kompletnie.*

To była pierwsza z wielu rosyjskich zagrywek, które, wykorzystując emocje towarzyszące Smoleńskowi, wywoływały zamieszanie i nieporozumienia wśród politycznych elit i społeczeństwa. Już za pierwszym razem Rosjanie mianowali Tuska „współodpowiedzialnym za manipulacje Anodiny”. Taką narrację PiS powtarzał latami.

Rosjanie, mistrzowie w załatwianiu własnych interesów cudzymi rękami, musieli wyczuć destrukcyjną siłę tkwiącą

w sporach wokół Smoleńska oraz podatność ludzi PiS na spiskowe teorie. I doskonale to wykorzystali. – *Można mówić w tym przypadku o zmoiwie, choć nie oznacza to zawarcia jakiegoś porozumienia. Rosja widząc, czego chce druga strona, wie, jak jej to podrzucić. I nawet jeśli ktoś w PiS domyśla się źródła, nie ma to większego znaczenia, jeżeli tylko cokolwiek przyda się do walenia w przeciwnika* – twierdzi analityk jednej ze znanych organizacji zajmujących się Rosją.

Korzyści z napięcia

Od chwili ogłoszenia raportu przez MAK Rosjanie regularnie grają kartą smoleńską, wszystko zgodnie z celami i regułami nowoczesnej wojny informacyjnej. Dopiero ostatnio poznajemy techniki rosyjskich operacji specjalnych, mających wpływać na opinie i zachowania społeczeństw Zachodu. Russia-gate w USA, brytyjskie referendum w Wielkiej Brytanii, wybory we Francji – wszędzie tam rosyjskie portale, media, farmy trolli, agenci wpływu pozostawili swoje ślady. – *Nasza antyrosyjskość i ta postawa ofiary, z którą nie możemy się rozstać, są bardzo nęcące dla rosyjskich władz. Dlaczego by mieli tego nie wykorzystywać?* – mówi dr Kazimierz Wóycicki ze Studium Europy Wschodniej UW.

Po katastrofie 10 kwietnia polski rząd długo miał nadzieję, że przyczyny tragedii da się wspólnie wyjaśnić bez większych nieporozumień. Pierwsze sygnały, że jednak może być inaczej, pojawiły się już podczas wspólnego dochodzenia na lotnisku w Smoleńsku. Rosjanie skrupulatnie pilnowali, by Polacy nie dowiedzieli się zbyt dużo i przypadkiem nie zebrali dowodów na winę kogokolwiek z ich strony. W polskie ręce nigdy nie trafił zapis wideo, który utrwalał pracę kontrolerów na wieży, nasi eksperci nie zostali też dopuszczeni do tzw. oblotu kontrolnego, który miał sprawdzić, jak działały urządzenia nawigacyjne, w tym radar. – *Gdy próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś więcej, natychmiast odzywał się przedstawiciel MAK, mówiąc, że to niezgodne z załącznikiem 13. do konwencji chicagowskiej, na podstawie której badane były przyczyny katastrofy* – wspomina osoba, która była wtedy blisko naszej ekipy.

Jej zdaniem Rosjanie wyciągnęli wnioski nie tylko z pierwszych teorii spiskowych pojawiających się w Warszawie, ale i z nieporozumień w polskiej ekipie wysłanej do Rosji. – *Jestem na 99 proc. pewny, że pomieszczenie na terenie sztabu lotniska, w którym pracowali nasi ludzie, było na podstuchu. Rosjanie wiedzieli więc o tarcjach między członkami naszej ekipy, wiedzieli, że traktujemy sprawę katastrofy i każdy dowód niesłychanie poważnie* – twierdzi nasz rozmówca. – *U nich na początku był szok, dlatego byli bardzo otwarci i np. zgodzili się na skopiowanie rozmów kontrolerów. Potem się otrząsnęli i zaczęli kalkulować na chłodno* – dodaje członek polskiej ekipy, która badała przyczyny katastrofy.

Mimo to aż do konferencji Anodiny współpraca układała się na tyle dobrze, że – jak twierdzi jeden z naszych rozmówców – Rosjanie sugerowali, że możliwy jest wspólny raport o przyczynach katastrofy. Co więcej, uwzględniający polskie uwagi do jego projektu, które komisja Millera wysłała do Moskwy. Z naszych informacji wynika, że sprawa była otwarta jeszcze w grudniu 2010 r., czyli na kilka tygodni przed konferencją Anodiny. Co więc się stało? Kto zdecydował, by się z tego wycofać? A może to była tylko zasłona dymna, by uspić naszą czujność? – *Z perspektywy czasu trzeba się cieszyć, że nie było wspólnego raportu, bo dziś członkowie komisji Millera pewnie oglądaliby świat zza krat, oskarżeni o szpiegostwo lub zdradę dyplomatyczną* – mówi Maciej Lasek, który zasiadał w komisji Millera.

Raport MAK był pierwszą i najpoważniejszą z serii „wrzutek”, którymi od ośmiu lat regularnie częstują nas Rosjanie. Odbывa się to zwykle według podobnego schematu. Najważniejszym

elementem są media, niekoniecznie wprost związane z Kremlem, często anonimowe strony w internecie, którym w Rosji w określonych sytuacjach i sprawach „na wiele się pozwala”. To właśnie głównie na nich publikowane są zdjęcia uderzające we wrażliwe „smoleńskie” punkty. Dobierane tak, by można było je wykorzystać przeciwko polskim władzom, na przykład sugerując, że coś ukrywają. Tak było ze słynnymi zdjęciami z miejsca katastrofy, wrzuconymi do sieci przez pewnego „blogera” ponad dwa lata po tragedii – m.in. pokazywały ciało jednej z ofiar, przedstawiane jako „oficer BOR”, rzekomo ze śladami postrzału na głowie. Miał być to „dowód” na to, że część ofiar przeżyła, tylko zostały „dobite”. Ta sensacyjna teoria obiegła prawnicowy internet, podchwycona i kolportowana m.in. przez Antoniego Macierewicza. Tego typu publikacje media sprzyjające PiS rozpowszechniają błyskawicznie. Przy czym media te nie atakują Rosjan, ale zwykle Platformę.

Z małą pomocą przyjaciół

Tak jest właściwie za każdym razem, gdy z Rosji wpływa cokolwiek związanego ze Smoleńskiem. Na przykład zdjęcia wykonywane przez Rosjan na miejscu katastrofy. Gdy pojawiła się fotografia ciała prezydenta przykrytego białym płótnem, leżącego na czarnej folii, politycy PiS i prawnicowe media powtarzali przez lata, że leżało w błocie, gdy Tusk ścisnął się z Putinem.

„Makabra w moskiewskim prosektorium. Polski rząd nie przypilnował niczego. Ani identyfikacji ciał, ani sekcji zwłok”, „Tego nie da się obronić. Wstrząsające zdjęcia z moskiewskiego prosektorium i brak skruchy Ewy Kopacz”, „Piekielne prosektorium” – to tytuły z tygodnika „wSieci” i serwisu wPolityce.pl, który publikował zdjęcia z moskiewskiego prosektorium w czerwcu zeszłego roku. Oczywiście nie podając, skąd je ma. Według osób, które uczestniczyły w identyfikacji, mogli je wykonać Rosjanie lub technik polskiej żandarmerii. – *Na tych zdjęciach nie ma nic drastycznego, widać rutynowe, spokojne działania. Ale tekst jest zupełnie inny, ostry, nieodpowiadający kompletnie temu, co jest na obrazku* – twierdzi jeden z naszych rozmówców, obecny wówczas na miejscu.

„Wchodzi Rosjanin i ciężki czarny worek rzuca pod ścianę. Niedbale, więc ten się osuwa. Kopie go raz i drugi, przeklinając przy tym pod nosem. Ktoś mu pokazuje karteczkę z nazwiskiem. Czy wiesz, kogo kopiesz? To polski dowódca wojskowy! Macha tylko ręką i odchodzi po kolejny worek z kolejnymi szczątkami... No właśnie, worek! Nie taki, jak na zwłoki, lecz przeznaczony na śmieci!” – ekscytowali się publicyści wPolityce.pl. Tyle że do worków, które Rosjanie używali w prosektorium i układali pod ścianą, wkładano również rzeczy należące do ofiar. W tym przypadku – jeśli w ogóle takie zdarzenie miało miejsce – mogło chodzić o mundur jednego z generałów.

Po publikacji zdjęć prokuratura nie wszczęła żadnego postępowania, choć zdjęcia są prawdopodobnie częścią dokumentacji dowodowej w śledztwie smoleńskim. Za to przyjęła zawiadomienie podkomisji smoleńskiej MON, która po wywiadzie udzielonym agencji RIA Nowosti – także w czerwcu 2017 r. – przez szefa komisji technicznej MAK Aleksieja Morozowa stwierdziła, że komisja Millera ukryła ważne dowody. Prawdopodobnie chodziło o ten fragment rozmowy, w którym rosyjski ekspert mówił o rozpadaniu się samolotu w powietrzu, w wyniku czego „zarejestrowano informację o uszkodzeniu systemów, w tym silnika i radiowysokościomierza”. Miało to być według ludzi Macierewicza jednym z dowodów na wybuch.

Warto w tym miejscu przypomnieć, kim są niektórzy z rosyjskich ekspertów. W podkomisji smoleńskiej zasiadał m.in. Andriej Iłarionow, czyli w latach 2000–05 szef doradców ekonomicznych prezydenta Putina. Choć nic nie wiadomo o jego ►